

47

FORRE online

Wskreszenie Brzozowskiego

„Krytyka Polityczna” wydała dwie ważne książki Stanisława Brzozowskiego. Pośmiertny zbiór szkiców „Głosy wśród nocy” nie był wznawiany od 1912 r. Powieść „Płomienie” po raz pierwszy ukazała się w roku 1908 i od tego czasu miała już kilka edycji (ostatnią w 1997).

Środowisko „KP” postanowiło przerwać ciszę nad trumną pisarza, którego myśl, jak czytamy, uległa niepokojącej hibernacji i od trzydziestu lat nie wywołała poważniejszej dyskusji nad stanem współczesnej polskiej kultury. Obie książki poprzedziły wstępy – pióra Sławomira Sierakowskiego („Płomienie”) i kojarzonego z prawicą Cezarego Michalskiego („Głosy wśród nocy”). Ich autorzy próbują wyjaśnić cele głoszonej przez siebie aktualizacji oraz skonstruować własny „program działania” powstały w ścisłym związku z propozycjami, jakie kilkadziesiąt lat temu podsuwał Brzozowski.

„Płomienie” to mocna w swej wymowie powieść o środowisku Narodnej Woli. Głównym bohaterem jest Polak, Michał Kaniowski, który przezwyciężywszy szlachetczyznę, schodzi na drogę rewolucyjnego terroru. We wstępie do „Płomieni” Sierakowski, śledząc „pochód szkieletu” filozofa przez dzieje polskiej inteligencji, wyjaśnia, o jakim Brzozowskim będzie mówił on sam. Za Walickim i Mencwelem wybiera ujęcie integralne, tj. takie, w którym wszystkie wątki myślowe łączą się w fundamentalnej intencji epistemologicznej. Najczęściej autora „Mocarza” starano się przypisać do jednego z „izmów”, gubiąc po drodze pozostałe elementy światopoglądu. Dzisiejsza lewica, pisze Sierakowski, nie musi tego robić. Może przyswoić sobie idee pisarza włącznie z tzw. „zwrotem religijnym”. Patronacka obecność Brzozowskiego miała znaczenie w debatach na temat kształtu kultury po ważnych dla Polski wydarzeniach historycznych. Utyskując na nieobecność myśli filozofa w czasie Solidarności i w dyskusjach po 1989 r., przechodzi Sierakowski do krytyki postawy, jaką od kilkunastu lat wyznają polskie elity. Charakteryzuje ją za pomocą zwrotu: „zniknął etos, zostały złudzenia”. Obnażając stosunek tychże elit do nowych czasów, Sierakowski ukazuje postmodernistyczną rzeczywistość, w jakiej inteligencja rodzi swoje idee. To świat, którym rządzą: racjonalna i determinująca realia siła, religijna nieomal wiara w niewidzialną rękę rynku, teorie mające na celu uzasadnić, a tym samym usprawiedliwić kryzys podmiotowości. Reakcją na te zjawiska jest ofensywa wstecznego konserwatyizmu. Powstająca w takiej przestrzeni kultura odwraca się od rzeczywistości („artystyczna autarkia”), by wzrastać w warunkach niezależnionych od polityczno-ideologicznych zobowiązań. Sierakowski widzi analogię pomiędzy kryzysem światopoglądowym, jaki objawił się pod koniec XIX w., a współczesnym zwycięstwem postmodernistycznej tendencji do zastępowania mocnego systemu wieloma światopoglądami naraz. Redaktor „KP” zwraca uwagę na hipokryzję tak pojętej empatii, gdyż omija ona rejony społecznej pauperyzacji. W ten sposób autor „Idei” – już zaktualizowany – staje się rzecznikiem w walce z neoliberalizmem, adwokatem ludzi, którzy w wyniku transformacji ustrojowej znaleźli się na marginesie życia. Dlatego w czasach „końca historii” Fukuyamy, w których wyznaje się wiarę w niewidzialną, ale racjonalną rękę rynku, wiarę w naukowość i nieuchronność ekonomii, w samosterowny gospodarczy mechanizm wyjściem z impasu może się okazać teoria politycznego aktywizmu Brzozowskiego. Sierakowskiemu marzy się więc człowiek konstruujący rzeczywistość ekonomiczną.

Przypominając antysienkiewiczowską kampanię Brzozowskiego z 1903 r., redaktor „KP” atakuje współczesnych „wieszczów” za bezmyślną idolatrię, „kryjącą zwykły anachronizm”. Leszkowi Kołakowskiemu zarzuca, iż w przeciwieństwie do czczonego przez środowisko „KP” Slavoja Žižka nie włącza się on aktywnie w debatę na temat współczesnego kryzysu światopoglądowego, nie próbuje ratować człowieka przed zgubnymi wpływami kapitalizmu. W zamian – w zaślepieniu i mąduszości – ignoruje Kołakowski marksistowskich filozofów, a przede wszystkim wspomnianego już Žižka. Przypuszczając atak na Kołakowskiego, Sierakowski traktuje autora „Płomieni” instrumentalnie. Zresztą analogia, która tu się zarysowuje

nie może nie wzbudzić zakłopotania, skoro Sierakowski – cytując Brzozowskiego – ironizuje, że Kołakowski od kilkunastu lat powtarza jedną myśl: „systematy filozoficzne przemijają, a msza się zawsze odprawia”? Czy rzeczywiście o tym mówią nam teksty Kołakowskiego? Ma rację Sierakowski, gdy twierdzi, że dużo dziś „starych mistrzów, którzy kiedyś budzili nas z odrętwienia, a dziś usypiają” (*casus* Wajdy), ale nie rozumiem, dlaczego model filozofa wyznającego polityczny aktywizm miałby stanowić jedyną przeciwwagę dla „samozadowolenia bezmyślności”? Sierakowski konkluduje, że dziś znaczenie kampanii antysienkiewiczowskiej maleje, ponieważ uderzenie w „mity narodowe” stało się domeną zmodernizowanego nacjonalizmu. Kontemplację sztuki, modernistyczne dystansowanie się artysty wobec społeczeństwa wiąże on z hasłem *l'art pour l'art*, z eskapizmem jednostek uchylających się od polityki, a tym samym od „odpowiedzialności za świadomość społeczną mas”. Przypomina o głośnym ataku Brzozowskiego na Miriamowską „Chimerę”, stwierdzając, że argumenty autora „Płomieni” niewiele straciły na aktualności. Sierakowski przekonuje, iż artystyczną autarkię można zarzucić współczesnym pisarzom. Chociażby tym młodym. Tekstem Brzozowskiego (a w zasadzie jego nowym odczytaniem) była zapewne inspirowana napaść Elizy Szybowicz na Jacka Dehnela (pt. „Comme il faut 2” ukazała się w 14 numerze „KP”). Artykuł ów – ważny ze względu na potencjał dyskusyjny – to rzadki na naszym podwórku przykład krytyki zideologizowanej, wedle której – jak chce Igor Stokfiszewski – „każda literatura jest polityczna”.

W najbardziej obiecującej części wstępu Sierakowski sygnalizuje istnienie tzw. „zwrotu postsekularnego” na lewicy. Powołując się na późne teksty Brzozowskiego, redaktor „KP” marzy o przeoraniu polskiej świadomości religijnej, przede wszystkim zaś polskiego katolicyzmu. Po jednej stronie widzi „liberalnych cyników”, po drugiej zaś „religijnych fundamentalistów”. Pierwsi akceptują quasi-empiryczne twierdzenia (naukowość jako fetysz prowadzący do bezpośredniej wiedzy), drudzy je wyśmiewają. Dla współczesnej lewicy inspiracją jest wczesne chrześcijaństwo. Trudno jednak nie zauważyć, że tak postrzegana religia ma wymiar czysto intelektualny. Istnieje jako możliwy do wykorzystania rezerwuar idei, fundament. To religia bez podstawy spirytualistycznej, bez której trudno mówić o wierze. Sierakowski nie wyjaśnia bliżej, na czym miałyby polegać ów zwrot religijny. Zapomina przy tym o późnych, nieograniczonych do „Pamiętnika” wypowiedziach samego Brzozowskiego. Nie zajmuje się ważnym w tym kontekście wstępem do „Przeświadczeń wiary” Newmana. Nie wiadomo też, ile w takim ujęciu zostałoby z samego katolicyzmu. Obawiam się, że niewiele, skoro moment wiary (zamiast – jak przekonuje Sierakowski – dotychczasowej rewolucji) postrzegany jest tu jedynie jako warunek konieczny do zrealizowania określonej wizji. Pozostaje druga strona medalu. Dość wspomnieć, że lektura zaktualizowanych „Płomieni” Brzozowskiego daje Sierakowskiemu „siłę do walki, roznieca wolę, aktywizuje, skutecznie pobudza ambicje”, nie pozostawia obojętnym. Spostrzeżenia tyleż frapujące, co – zwłaszcza w kontekście poczynań terrorystów z „Płomieni” – niepokojące. To jednak kwestia do dyskusji.

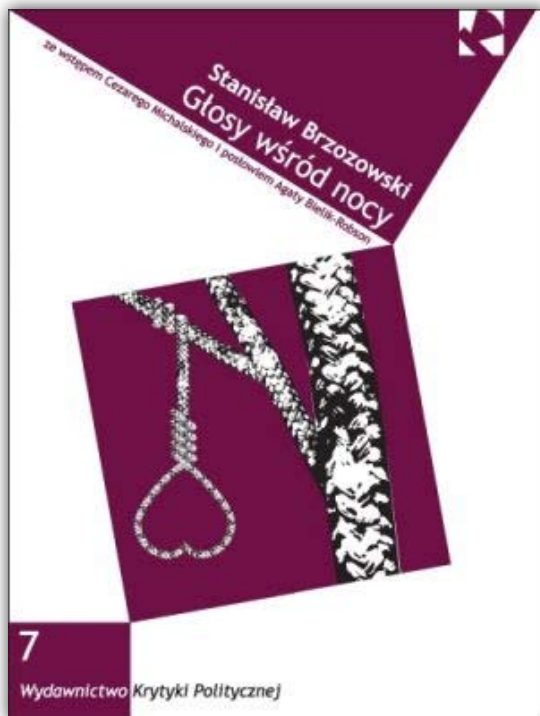
Cezary Michalski wprowadza nas do lektury „Głosów wśród nocy”. W tym nieukończonym dziele Brzozowski określił swój stosunek do szeroko pojmowanej świadomości romantycznej. Krytykując polski romantyzm (ocalał w zasadzie tylko Mochnacki), autor „Idei” znalazł wsparcie w romantyzmie angielskim. „Głosy” to także przejaw zainteresowania filozofa katolicyzmem. Michalski patrzy na Brzozowskiego przez pryzmat biograficznej konstrukcji, która zdeterminowała jego społeczną i intelektualną aktywność. Autor „Płomieni” wywodził się ze zrujnowanej szlachty. Przez całe życie przewycięzał w sobie ten kompleks. Rzeczywistość, którą stwarzał aż do śmierci, stanowiła antytezę dla świata szlacheckiego opisanego z gorzką ironią w nieukończonej powieści „Dębina”. Brzozowski Michalskiego to myśliciel starający się odkryć, w jaki sposób polską słabość przekuć w siłę. Pierwszy etap intelektualnej wędrówki pisarza wiąże się z odkryciem (*via* Nietzsche) psychologicznej szkoły podejrzeń, albowiem „[...] zarówno w epoce Brzozowskiego, jak i dzisiaj jednym z najważniejszych wymiarów polskiej słabości, naiwności i bezrefleksyjności było i pozostanie kompletne niewewnętrznienie psychologicznej podejrzliwości na temat swoich motywacji i zachowań”. Skupiając swą uwagę na specyfice epoki, Michalski postrzega modernizm jako nieukończony projekt opowieści o człowieku, w którym najważniejsze okazuje się opisanie życia i kategorii podmiotowości. To tłumaczy, dlaczego katolicyzm Brzozowskiego nie spoczywał na twardym fundamencie objawienia, dogmatu, a służył człowiekowi w indywidualnej przebudowie światopoglądu jako idea pozostająca w granicach intelektu. Ten bliski środowisku „KP” funkcjonalistyczny wymiar religii obecny jest także we wspomnianym już wcześniej „zwrocie

postsekularnym” na lewicy. Michalski podsumowuje wątek stwierdzeniem, iż używana przez filozofa figura „przepracowywania” tożsamości człowieka kulminowała w systemach totalitarnych, które oznaczały koniec modernistycznych utopii. Autor wstępu zostawia sobie nieco miejsca, by podobnie jak Sierakowski, zaatakować późnych polskich przeciwników Brzozowskiego. Są nimi: snobistyczny, inteligencki salon, który głosi ideały braterstwa, a jednocześnie boi się roszczeń „moherów” i „ciemnogrodu”; prawicowi czciciele tromtadracji i martyrologii (Jarosław Marek Rymkiewicz); zwolennicy „polskiej samowystarczalności” (Zdzisław Krasnodębski). To reprezentanci polski naiwnej, zdzieciniałej, bezrefleksyjnej, puszającej się swoją wymaginowaną wielkością.

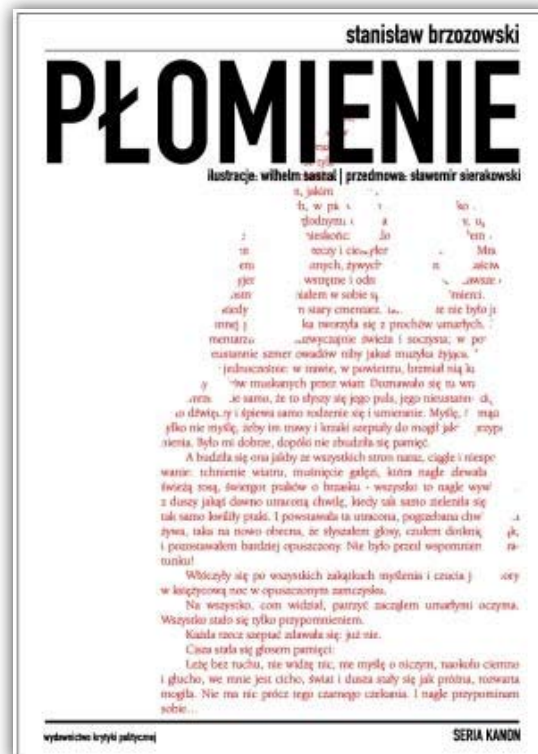
Brzozowski był maksymalistą. Nie lubił kompromisów. Wymagał od człowieka ciągłego angażowania się w formowanie historii i świata. Jak pisał Andrzej Kijowski, liczyło się dla niego „tylko żarliwe uczestnictwo w zbiorowych dziełach”. Dziś taka apodyktyczność może drażnić, wzbudzać zniechęcenie, nawet bunt. Trzeba jednak pamiętać, że jest on jednym z nielicznych pisarzy, którzy walcząc z narodową mitologią, uzmysławiają, jak wiele pozostaje w Polsce do zrozumienia i przezwyciężenia oraz ile potrzeba pracy samych Polaków, by skonstruować odpowiadającą nowoczesnej rzeczywistości świadomość.

Brzozowski powracał w dyskusjach przy okazji historycznych zakrętów, światopoglądowych kryzysów. Nie dawał gotowych rozwiązań, wskazywał jedynie tropy, które sprawdzano na własną rękę. Tak dzieje się i teraz. Można mniej lub bardziej nie zgadzać się ze sposobem, w jaki „KP” aktualizuje jego myśli, ale nie da się ukryć, że to prężnie działające lewicowe środowisko, wskrzeszając Brzozowskiego, ponownie wprowadziło w obieg idee, o których warto dzisiaj dyskutować.

Stanisław Brzozowski,
Głosy wśród nocy,
Wyd. Krytyki Politycznej,
Warszawa 2007;



Płomienie,
Wyd. Krytyki Politycznej,
Warszawa 2007.



Zabij mnie, to nic nie boli

Ktoś kiedyś powiedział, że samobójstwo popełniają ci, którzy boją się śmierci. Ale może raczej należałoby powiedzieć, że ci, którzy boją się umierania. Coś w tym jest, jednak mimo wszystko, samobójstwo jest raczej ucieczką. Ucieczką przed odpowiedzialnością za swoje życie, pójdziem na łatwiznę, wyborem łatwiejszej drogi. Bohaterowie najnowszej powieści Daniela Koziarskiego, zatytułowanej „Klub samobójców”, swym życiem potwierdzają te słowa.

Autor przygód Socjopaty Tomasza Płachty tym razem przedstawia czytelnikom aż czterech bohaterów. Różne zawody, osobowości, życiowe cele. Jednakże są to postaci nieco przerysowane i przewidywalne. Czytelnik z łatwością może odgadnąć kolejne kroki ich działań. Michał to pracownik naukowy Uniwersytetu Gdańskiego. Praca na wydziale zaczyna go jednak nudzić, studenci nie są już tacy inteligentni jak dawniej, koledzy z pracy – drażnią. No i w życiu osobistym też mu się nie układa – ukochana Magda wyjechała do pracy do Londynu i ani myśli wracać do Polski. Jediną pasją Michała staje się zatem internetowy chat – właśnie tytułowy „Klub samobójców” – na którym poznaje mniej lub bardziej zakręcone osobowości. Są to ludzie, którzy rozmawiają tylko na jeden temat – jak najłatwiej się zabić? Tylko niektórzy z nich mają wątpliwości. Są niczym kobieta z piosenki Varius Manx, prosząca ciągle: „Zabij mnie – nim ona to zrobi. Zabij mnie – to nic nie boli. Jeśli chcesz mieć święty spokój, zabij mnie – zamknę oczy”.

Dziewczyna Michała jest drugą bohaterką powieści. Życie w Londynie, zwłaszcza nocne, wciąga Magdę bez reszty. Narkotyki, alkohol, przypadkowy seks, w końcu rola w filmie pornograficznym – dla takich rozrywek rezygnuje z miłości Michała, rodziców czy pracy w kraju. Magda jest postacią wręcz nudną. Ciągłe tylko pije i przeklina, w ogóle jak na dziewczynę z wyższym wykształceniem używa dość rynsztokowego języka. I święcie wierzy, że Londyn jest ziemskim rajem.

Trzecim bohaterem jest Maciej – młody pisarz, autor jednej powieści, na którym – jak na każdym debiutancie – ciąży odpowiedzialność za kolejną książkę. Maciej ma oczywiście tysiąc i jeden pomysłów, ale żadnego nie potrafi zrealizować. Jest coraz bardziej sfrustrowany i przerażony „pisarzoholikiem”. Wypalony wewnątrz nie potrafi poradzić sobie sam ze sobą. Wpada w obsesję, nie umie już rozmawiać z ludźmi na inny temat. Liczy się tylko jego książka.

Jest w końcu doktor Wolniewicz – psychoterapeuta, przez którego gabinet przewijają się tak zwani ludzie z problemami. A to puszczalska Alicja, która nie potrafi poradzić sobie z własną seksualnością, a to poseł Zrębowy, a to awangardowy artysta czy też menager z ojcowskim zapędami i przerażona własnymi snami aktorka. W końcu jednak okazuje się, że i sam doktor nie do końca jest tym, za kogo się podaje.

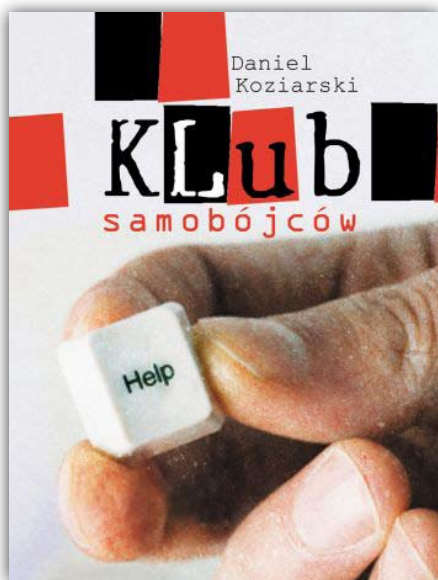
Świat stworzony przez Koziarskiego jest bliski rzeczywistości – emigracja (tu autor się nieco spóźnił, największa fala już przeminęła), problemy społeczne czy polityczne. Pisarz zawarł w powieści również mnóstwo łatwo rozpoznawalnych aluzji, zwłaszcza jeśli chodzi o światek literacki. I tak na przykład wydawnictwo Czarne zmienia się na Brązowe, Magdalena Miecznicka staje się Martą Sztylecińską, a pisarze zamiast do Nagrody Literackiej Nike są nominowani do Nagrody Syrena. Poza tym w świecie „Klubu samobójców” niejaka Alina Szutka prowadzi w telewizji program „Wydanie trzecie, poszerzone”, Jarek Menehl napisał powieść „Dziad”, a do TVP Kultura zapraszani są tacy pisarze jak Koszela – autor książki o pewnej znanej piosenkarce oskarżonej o współpracę z gestapo oraz Mleczny – autor powieści o życiu w sierocińcu. Tego typu aluzji jest w książce dużo więcej. Ich tropienie początkowo bawi czytelnika, ale z czasem staje się nudne jak każda rutyna i coraz mocniej zaczyna się wierzyć w to, że to sam Koziarski po prostu w tak słabo zawołowany sposób chce, by tak powiedzieć, dokopać wszystkim tym, którzy kiedyś zaleźli mu za skórę.

Moim zdaniem najciekawszą postacią w powieści jest Maciej. Maciej ma mnóstwo pomysłów, ale nie potrafi ująć i zacząć pisać. Wszystko jest świetne na początku, ale na końcu okazuje się, że pomysł nie był tak genialny, jak się mu wydawało. Pierwsza powieść, zatytułowana „Ostatnie spotkanie nad Motławą”, staje się jego obsesją. Z jednej strony nie potrafi sprostać udzielaniu wywiadów czy spotkaniom autorskim, z drugiej jednakże – pragnie, by wszyscy mówili tylko o

nim i jego książce. W księgarniach przedstawia ją w bardziej widoczne miejsca, a nawet na pogrzebie ojca w mowie pożegnalnej, zamiast opłakiwać i wspominać zmarłego, nie może powstrzymać się od zachwalania siebie i swojej twórczości: „Tak jak mój bohater książki, Jarczuk, poszedł się z kimś spotkać ostatni raz, tak ja i wy, każdy z nas z osobna, przyszedł na ostatnie spotkanie, spotkanie z Antonim Trybalskim, tylko że nie nad Mottawą, ale na ten piękny orłowski cmentarz, gdzie wiatr złowrogo szeleści gałęziami okolicznych drzew, a ruda wiewiórka biega pomiędzy nagrobkami, szukając orzeszka albo kawałka chleba [...]. Tato, dziękuję ci dzisiaj za wspólne lata, obiecuję, że zrobię wszystko, żebyś był ze mnie dumny i żeby następna powieść była jeszcze lepsza od pierwszej, możesz się spodziewać osobistej dedykacji, bo wiem, że na nią zasługujesz. Uśmiechnij się z nieba do mnie, do nas wszystkich tu obecnych, i namów Boga, żeby zabrał do siebie przedwcześnie tych krytyków, którzy mogliby mi zaszkodzić” (s. 127-128). Na stypie natomiast, Maciej dalej opowiada o swojej książce żałobnikom, ponieważ „jeśli przynajmniej co piąta dokona zakupu, powinno mi to dać dwadzieścia dodatkowo sprzedanych egzemplarzy” (s. 128).

Głównym problemem powieści ma być jednak samobójstwo. Co po nas zostanie? – pyta jeden z bohaterów. Michał wie, że po jego śmierci „jakaś antykaczyńska gazeta nazwałaby mnie kolejną ofiarą IV RP, a Magda rozpamiętywałaby mnie przez jakieś trzy tygodnie, a potem zaczęła rozglądać się za kimś innym albo po prostu przestałaby się kryć, jeśli tego kogoś już miała. Profesor Rozpędowski ogłosiłby konkurs na nowego asystenta w katedrze, nadal produkowano by *Klan*, Paweł Małaczyński wystąpiłby w kolejnych dziesięciu serialach, Woody Allen wciąż robiłby jeden film rocznie, Bono wciąż zabiegał o redukcję afrykańskiego długu, promując kolejną płytę U2, i ogólnie świat jakoś kręciłby się dalej, choć już beze mnie” (s. 198). Kłopot w tym, że rozwiązania wybrane przez Koziarskiego są zbyt oczywiste. Autor tak konstruuje swych bohaterów, że jedynym możliwym wyjściem z sytuacji, w jakich się znaleźli, wydaje się właśnie śmierć. Czytelnik z łatwością może domyślić się, kto co robi na końcu powieści. Właściwie jedynym oryginalnym i zaskakującym pomysłem było zakończenie historii doktora Wolniewicza. Ale czy ludzie naprawdę są aż tak słabi, jak Michał, Magda, Maciej i Wolniewicz? Czy rzeczywiście są sytuacje, w których nie ma dobrego rozwiązania i od których trzeba po prostu uciec? Na te pytania na kartach „Klubu samobójców” odpowiedzi nie znajdziemy. Możemy pocieszać się tylko tym, że postaci samobójców są zbyt przerysowane, by mogły być prawdziwe.

Niestety również wielogłosowość i różne style prowadzenia narracji nie wnoszą do opowiadanych historii nic nowego. Koziarski tylko pastiszuje literaturę – nazwijmy ją roboczo – obyczajową. Owszem, gdzieś tam przebija zjadliwy humor, za który tak chwalono autora „Kronik Socjopaty”. Tyle tylko, że w tym przypadku, sama ironia i dowcip się nie obronią. „Klub samobójców” jest zatem po prostu zabawnym czytadłem na zimowe wieczory i rację ma Dawid Kornaga, pisząc, iż powieść ta przypomina mu „maraton kabaretowy”. Ale żeby obejrzeć jakikolwiek maraton, trzeba mieć dużo siły i samozaparca. Dla Koziarskiego nie ma to jednakże dużego znaczenia. W uwagach na końcu książki odsyła bowiem czytelników do ostatniego fragmentu piosenki Kazika „12 groszy”. Zatem posłuchajmy: „jak powstają twoje teksty? – gdy mnie ktoś tak spyta, zakurwię z laczka i poprawię z kopyta”.



Daniel Koziarski,
Klub samobójców,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2008.

„To jest ciało moje...”

W moim portfelu od jakiegoś czasu znajduje się niewielka (co oznacza, że nie zajmuje zbyt wiele miejsca i nie ciąży za bardzo) zielona karteczka. Oświadczenie woli. Tekst, który własnoręcznie podpisałam brzmi: „Moją wolą jest, by w wypadku nagłej śmierci, moje tkanki i narządy zostały przekazane do transplantacji ratując życie innym”. Szczególnie istotne jest to „w wypadku nagłej śmierci”. Jest przecież organ, który można przekazać „za życia”. Takim narządem jest nerka. Wiadomo, że posiadamy ich parę. Do prawidłowego funkcjonowania organizmu człowieka wystarczy, żeby jedna była sprawna. Czasami „słysz się” o tym, że ten, czy inny, przekazał swoją nerkę komuś z rodziny. Z reguły taki gest spotyka się z podziwem społeczeństwa. Bardzo rzadko jednak media informują o sytuacji, w której dawca dzieli się swoim ciałem z zupełnie nieznaną osobą. Dzieje się tak zapewne dlatego, że w większości państw taki proceder jest prawnie zabroniony. Z obawy przed handlem narządami, nie wyraża się zgody na przeszczepy od żyjących, niespokrewnionych dawców. Do takich zabiegów dochodzi najczęściej w Stanach Zjednoczonych. I właśnie o tym pisze w książce „Ciało z jej ciała” Slavenka Drakulić.

Chorwacka dziennikarka podjęła ten temat nie bez powodu i nie z przypadku – sama jest biorczynią nerki pochodzącej od nieznanego kobiety. Mało osób zdaje sobie sprawę z tego, jak męczące i bolesne są dializy. Jeszcze mniej uzmysławia sobie, że jest w stanie komuś pomóc zaprzestać tych zabiegów. Drakulić skupia się jednak na tych, którzy to sobie uświadomili. I postanowili pomóc. Jednocześnie stara się zrozumieć uczucia tych, którzy z tego daru skorzystali i doczekali się „nowego życia”.

Dziennikarka nie tylko rozprawia się z wieloma mitami, które wyrosły wokół tematu transplantacji, ale też podejmuje wyzwanie odpowiedzenia na pytania o motywacje dawców i trudności przed jakim stają, z powodu swojej wdzięczności, biorcy. Przedstawia ich sylwetki i stara się zanalizować ich doświadczenia w kontekście znacznie szerszym. Czuje się, że autorce przyświeca misja. I nie ma się czemu dziwić. Skoro sama tak wiele zyskała dzięki temu, że ktoś zdobył się na akt altruizmu, to nietrudno się domyślić, że będzie jej zależało na tym, by przedstawić osoby, które cieszą się dobrym zdrowiem w wyniku przeszczepu i tych, którzy, jako dawcy, poczuli się dumni ze swojego daru, którym dało to satysfakcję. Wydaje mi się, że nie ma powodu, by polemizować z tą książką ze względu na tendencyjność w przedstawianiu owych postaci i ich udanych zabiegów, bo – co istotne – statystyki również przemawiają na korzyść tego typu zabiegów i wcale nie przerażają potencjalnych dawców.

Zafascynowana skrajnym altruizmem osób poświęcających fragment własnego ciała Drakulić przedstawia czytelnikowi kilkanaście postaci. Każda z nich ma własną historię, własną motywację, a często – jej brak. To, co łączy rozmówców autorki książki to fakt, że mają poczucie, że nie zrobili niczego niezwykłego. Niezależnie od tego, czy swoją historię przedstawia ksiądz, młoda studentka czy milioner, każde z nich uważa, że to nie było wynikiem posiadania jakiejś niesamowitej cechy charakteru. Większość z nich jeszcze na długo przed zabiegiem szukało sposobu na pomaganie innym. Oddawali krew, byli wciągnięci na listę potencjalnych dawców szpiku kostnego. Szczególnie poruszająca jest wypowiedź milionera, Zella Kravinsky’ego, który swój akt dobroci uza-

sadniał w sposób, który wzbudził wiele kontrowersji wśród amerykańskiej społeczności. Uważał on, że „[...] nikt nie powinien mieć domu letniego, dopóki wszyscy nie będą mieli gdzie mieszkać. Nikt nie powinien kupować sobie drugiego samochodu, dopóki wszystkich nie będzie stać choćby na jeden. I nikt nie powinien żyć z dwiema nerkami, dopóki jest ktoś, kto nie ma żadnej”. Z tego właśnie powodu oddał on swój majątek na cele dobroczynne, a potem dokonał ofiary z własnego ciała kierując się zasadą „jeśli nie oddasz komuś nerki, będziesz mordercą”. Jakby grzech zaniechania był tożsamy z czynem pozbawiającym życia.

Drakulić wiele uwagi poświęca też problemowi wdzięczności biorców. Jeden ze szczęśliwców, który doczekał się transplantacji, zauważa, że to uczucie „tak przemożne, tak obezwładniające, że czasem trudno ubrać je w słowa”. Autorka, która sama stanęła przed możliwością spotkania się ze swoją dawczynią (i z możliwości tej skorzystała), postrzegając Christine jak anioła, postać zupełnie niezwykłą, zasługującą na najwyższy szacunek. Spotkanie dawcy i biorcy bywa często przełomowym w ich życiu. Jednocześnie zmusza do zastanowienia się nad fenomenem dobra, nad pobudkami kierującymi ludźmi, którzy składają ofiarę z własnego ciała. Dużo łatwiej pogodzić się z motywacją, która przyświeca osobom wierzącym, ponieważ biorca czuje się usprawiedliwiony, rozgrzeszony niemal z poczucia wdzięczności.

„Ciało z jej ciała” wzbogacone jest o podtytuł „O banalności dobra”. Bohaterowie Drakulić są bowiem postaciami, które swój czyn potrafią przedstawić w sposób niezwykle banalny, jakby fakt, że zdecydowali się okaleczyć w imię dobra chorego, obcego człowieka, było czymś równie prostym, co wrzucenie złotówki na rzecz fundacji.

Mądra to książka i z pewnością zasługująca na uwagę. Tym bardziej, że czyta się ją naprawdę lekko, co – w zestawieniu z tematem, który do „łatwych i przyjemnych” nie należy – jest szczególną zaletą dzieła Slavenki Drakulić. Zwyczajność, brak patosu, a nade wszystko zdolność do przedstawiania rzeczywistości taką, jaką jest – raczej szarą niż czarną lub białą – stanowi wielką siłę książki i sprawia, że nie jest ona pozycją z cyklu „dokument z morałem”. Przestanie jest tu tak jawne i oczywiste, że autorka nie sili się na ukrywanie go albo na ubieranie w niesamowite słowa. Jak ono brzmi? Dobro może być banalne. I wciąż jest na nie miejsce. Nawet, a może przede wszystkim, w tym zwariowanym świecie, w którym przyszło nam żyć. Jeśli można pomóc – trzeba tak zrobić.



Slavenka Drakulić,
Ciało z jej ciała. O banalności dobra,
przeł. Dorota Kozińska,
Wyd. W.A.B.,
Warszawa 2008.

Czeska wycieczka

Zdarza się, że ludzie wyjeżdżają na wczasy. Najczęściej do ciepłych krajów, na przykład do Włoch. Bywa, że korzystają z biura podróży, które gwarantuje im przejazd autokarem w obie strony, a także zapewnia drogi, ekskluzywny hotel oraz w określonym zakresie rozrywkę. Nad udaną i bezpieczną podróżą czuwa pilot wycieczki, który stara się jak tylko może, aby uczestnicy wyprawy przetrwali wszelkie niedogodności podróży. Dużo ciekawiej jest, gdy tym pilotem okazuje się atrakcyjna młoda kobieta. Naprawdę możliwe jest, że na jednej wycieczce spotykają się: poseł wraz z rodziną, para gejów, obcokrajowiec, tajemnicze małżeństwo, nastolatek mający poważne problemy ze swoją tożsamością płciową oraz wielu innych równie barwnych, albo równie szablonowych postaci. Interesujące? Na tyle, aby napisać o tym książkę. „Wycieczkowicze” Michala Viewegha, który jest jednym z bardziej popularnych pisarzy czeskich, uwielbianym przez czytelników w takiej samej mierze, co atakowanym przez krytyków, ma raczej małe szanse, aby się przed krytyką obronić.

Viewegh sprawnie przedstawia realia wakacyjnej wycieczki. Konstruuje odczuwalny wręcz nastrój przyjemnej i beztrudnej przygody, wyłączając z niego, jakże niepotrzebne w tym radosnym świecie, poważne problemy codzienności. Oczywiście odnajdujemy tu osobiste dramaty, zdrady czy nieporozumienia, ale w tej opowieści nawet one przyjmują te łagodniejsze, wakacyjne kształty. Do rozmiarów katastrofy porównywane są natomiast błahe, niewiele znaczące dylematy. Jednym słowem wakacyjna sielanka. To ona właśnie tworzy tło satyrycznego obrazu współczesnego społeczeństwa czeskiego. Bo o to, wydaje się, chodziło autorowi. Przecież taki ironiczny ton, zabarwiony czarnym humorem, nieco groteskowym spojrzeniem na rzeczywistość, jest charakterystyczny dla czeskiej literatury. Dlatego i tę książkę czytać należy w takim kontekście. Autor ironizuje zatem, wskazuje wady, wyśmiewa zachowania, postawy, ale robi to oczywiście, co również zdaje się być stereotypowe dla czeskiej twórczości, w sposób ciepły, pełen zrozumienia. Szkoda tylko, że oprócz tego, co zostało przypisane do obowiązkowych elementów tej literatury, w książce nie pojawia się nic nowego. Dlatego, owszem, powieść może uchodzić, za kolejny sukces literacki poczytnego autora, ale brakuje w niej pewnej świeżości, która sprawiłaby, że ten sukces różniłby się od wcześniejszych.

Należy w końcu postawić na pytanie: o czym jest właściwie ta książka? Z pewnością Viewegh chciał ukazać swoich rodaków w tzn. „krzywym zwierciadle”. Często odnajdujemy jaskrawe porównania i określenia społeczeństwa czeskiego na tle zmian, jakie wywołała w nim integracja europejska, otwarcie granic, a także napływ zachodniej mentalności i stylu życia. Autor ironizuje – konfrontuje nowoczesną wizję relacji społecznych, opartych o wzorce zachodu, które wyraźnie zarysowuje w obrazie Czechów, ze światopoglądem pochodzącym wprost z epoki socjalizmu realnego, wyznaczający nadal pewien wzór zachowania i poglądów. Autor wskazuje zatem na te różnice, w pewien sposób je piętnując, czy też ujmując to w inny sposób – wyśmiewając. Oczywiście Takie ujęcie fabuły książkowej, dostatecznie uzasadnia jej powstanie. Pozostaje mimo to pewien niedosyt, który w trakcie lektury zamienia się nawet w irytację, ponieważ nie odnajdujemy w niej niczego, co mogłoby jakoś urozmaicić i pomóc przebrnąć przez perypetie czeskich wycieczkowiczów. Sprowadza się to do tego, że momentami książka staje się po prostu nudna. Nawet pikantne szczegóły z życia erotycznego bohaterów, których autor nie szczędzi czytelnikowi, nie są w stanie tej nudy przerwać. Próba ratunku, może okazać się duża dawka humoru i to w tradycyjnym czeskim wydaniu, jednak nie wystarcza go, aby książka zachwyciła. Nie można zapominać o celowym wyborze wycieczki, jako sytuacji, w której zachowanie ludzi ulega pewnej intensyfikacji. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt,

że poseł zdradza swoją żonę z młodą kobietą po pięciu dniach znajomości, a jedna z bohaterek, w ciągu tygodnia poznaje mężczyznę i postanawia go poślubić? Autor wykorzystał podróż, niczym pole gry, w której reguły odbiegają zasadniczo od zasad przyjętych w życiu codziennym i na tym właśnie polu ukazał kilka, nieco szablonowych, ale także jaskrawych i nieskomplikowanych sylwetek. Wikłając je w sytuacje, w których na co dzień by się nie znaleźli autor, przyjmując ironiczny ton, jeszcze bardziej podkreślił charakterystyczne dla nich cechy. Dlatego może to być opowieść o przypadkowych ludziach, którzy poznają się, nawiązują znajomości, także te intymne, dzielą wycieczkowe radości i smutki, aż w końcu ich wspólna podróż dobiega końca. Jednak ani postaci, ani sytuacje, w których się znalazły nie pretendują do miana wyjątkowych, dlatego książka je opisująca raczej wyjątkową nie będzie. Ironia oraz sarkazm, jakimi operuje autor ukazując prawdziwe oblicze swoich bohaterów, skierowana została w „Wycieczkowiczach” również w stronę krytyków literackich. Być może autor na stronach swojej powieści rozprawia się z niesprawiedliwymi, jego zdaniem, ocenami dotychczasowej twórczości, ale przyznać należy, że nawet jeśli takie były jego zamiary, to umieszczenie słów krytyków w powieści, przyniosło raczej komiczny efekt, choć można go uznać również za zabawny.

Czytelnik, który po skończonej lekturze, spróbuje odnaleźć przesłanie tej powieści, może niestety się zawieść, ponieważ w tej książce go nie ma. Jest to po prostu dowcipna, utrzymana w lekkim tonie historia. Historia, która jednak delikatnie mówiąc rozczarowuje, przede wszystkim mizernym pomysłem. W tej książce jest dokładnie to, czego można było się spodziewać: humor, groteska, ironia, a czasem także absurd. Razi natomiast brak koncepcji.



Michał Viewegh,
Wycieczkowicze,
przeł. Jacek Illg,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2008.

Miłobędzka wielostronnie

* * *

„Poezja żywcem się wymyka wszelkim określeniom. Określenie jest dla niej smutnym rodzajem trumny szklanej, która – przejrzysciejąc – zabija. Ileż to razy, naukowo rozważając niepochwytą i zmienną istotę poezji, nic innego nie czynimy – jeno uroczyście kołyszemy w próżni trumnę szklaną w tym przekonaniu, że oczom własnym i cudzym wspaniałomyślnie rozwidniamy przyłapaną na gorącym uczynku i odtąd już posłuszną nam tajemnicę poezji! A zauważmy tu mimochodem, lecz niezupełnie od niechcenia, że ilekroć poezja przestaje być dla nas tajemnicą, tylekroć my dla niej przestajemy być poetami”.

Bolesław Leśmian, Traktat o poezji.

* * *

Istnieją osoby, które – zagadnięte o wiersze Krystyny Miłobędzkiej – popadają w stan niewymownego poruszenia. Wydaje się, że grono to wciąż się powiększa. Spotykałam takie, w których lektura Miłobędzkiej wywoływała zachwyty, śmiech, i – najprawdziwszy – strach (myślę o jednym przypadku, być może odosobnionym, pewnego poznańskiego poety). Widziałam również recenzję ograniczającą się do wzruszenia ramionami i słowa „przyimki”, po których nastąpiła niezgłębiona cisza. Ktoś inny ponoć nazwał Ją Buddą.

* * *

Bezwarunkowo konsekwentna, skromna, mrówcza w swym wysiłku mówienia od nowa („udźwignąć tę lekką!”) twórczość Krystyny Miłobędzkiej zajmuje w świadomości czytelniczej szczególnie miejsce. Budząc głębokie emocje (czy jest w tym jakaś sprzeczność?) pozostaje bowiem głęboko enigmatyczna.

Od debiutanckiego tomu „Anaglify” z 1960 roku, z mniejszą lub większą regularnością, pojawiały się kolejne książki poetyckie Krystyny Miłobędzkiej. Choćby i z tego względu trudno mówić o „powrocie” poetki do literackiego obiegu (o zagadnieniu „powrotów” literackich i ich niemożliwości niezmiernie ciekawie pisze zresztą w niniejszym opracowaniu Jacek Gutorow). Jednak pierwsze monograficzne opracowanie twórczości Krystyny Miłobędzkiej pojawiło się całkiem niedawno.

* * *

„Miłobędzka wielokrotnie” to owoc sesji poświęconej Poetce, która miała miejsce w październiku 2007 roku na poznańskiej polonistyce. W książce zamieszczono szkice siedemnastu autorów, w nich mikro(makro)kosmos odczytań: o inspiracjach (Wschodem, „Alicją w Krainie Czarów”), o wierszach-domach i wierszach niezamieszkałych, o macierzyństwie, o prezentacjach „ja”, o nie (!), o przemianie i przemijaniu, o przyjaźni, o czarowaniu (patrz: „Miłobczarnia”). Między innymi. Znaleźć tu można zarówno teksty znanych krytyków (m.in. Karol Maliszewski, Jacek Gutorow, Tadeusz Nyczek, Anna Kałuża), jak i studentów. W przypadku tych ostatnich są to – pisze w przedmowie Piotr Śliwiński – „świadectwa lektury pierwszej, zawsze budzącej najwięcej ciekawości”. Ponadto kilka wierszy Krystyny Miłobędzkiej oraz rozmowa z Poetką, przeprowadzona przez Jarosława Borowca. Tyle w największym skrócie.

* * *

W „Zamiast Wstępu” do publikacji Piotr Śliwiński w następujący sposób definiuje ideę powstania opracowania: „Poezja Krystyny Miłobędzkiej, wybitna, oryginalna, coraz popularniejsza pośród czytelników, a zarazem niedostatecznie znana krytyce, warta jest poważnego opracowania, które – wyrzekając się ambicji rozstrzygnięcia wszystkich fascynujących niejasności tkwiących w tej twórczości – byłoby jednakowoż niezdarkową próbą uchwycenia jej właściwości podstawowych.

Chodzi o przybliżone ustalenie miejsca Miłobędzkiej w obrazie poezji powojennej i najnowszej, wskazane na bogactwo i zmienność form, jakimi się posługuje, zakreślenie przestrzeni poetyckich i filozoficznych dialogów, wyliczenie kluczowych motywów i tematów, charakterystykę aspektów antropologicznych i moralnych, zagadnienia poetyki i niepochwytny urok...”.

* * *

Zapełnić szczeliny, w które poezja Miłobędzkiej kieruje czytelniczą wrażliwość? Morderstwo.

Jest jakoś chyba tak, że dotychczasowa nieobecność opracowań twórczości Miłobędzkiej, przy wzbierającym nią zainteresowaniu, w wielu przypadkach (myślę zwłaszcza o młodszych czytelnikach) uprawomocniała emocje lektury „pierwszej”, choćby i setnej z kolei.

Trudno byłoby się dziwić, gdyby tak podobna publikacja zbudziła w słabszych psychicznie czytelnikach autentyczny niepokój i szereg uzasadnionych obaw.

Bo, „mówiąc” bardziej serio, trudno nie zgodzić się z tezą Jacka Gutorowa, gdy pisze „Jej wiersze domagają się dyskrecji, lektury nastawionej na szczegół, detalicznej, sabotującej wszelkie syntezy i podsumowania, odpornej na historyczno-literackie roszczenia. Lektury jakby powstrzymywanej, dokonywanej trochę na stronie – ale tym samym nie wpadającej w koleiny kolejnych nudnych odczytań” („Powót?”).

A zatem – trumna szklana? Niekoniecznie.

* * *

Nie znajdziemy tu bowiem prób wymuszenia jednoznacznych rozstrzygnięć. Raczej – szersze sproblematyzowanie twórczości Miłobędzkiej (jakże rzadko pojawia się to, cytując samą Miłobędzką, okropne słowo lingwiści”), wielość przywoływanych kontekstów filozoficznych, wtajemniczeń w poetykę i sensy. Ślady obcowania.

Czy książka spełnia zadania, o jakich wspomina Piotr Śliwiński? Chciałoby się rzec – eskapistycznie, jednak paradoksy są w tym kontekście w pełni uprawnione – i tak, i nie. Tak, na tyle, na ile zadania te może zrealizować owoc jednej sesji literaturoznawczej. Tak, ponieważ mamy do czynienia z ujęciem wieloaspektowym, którego wkład w recepcję twórczości Miłobędzkiej jest nie do przecenienia. I, na szczęście, nie, ponieważ trudno wyobrazić sobie coś gorszego, niż unieruchomić siecią oczywistości twórczość Poetki, której obsesją jest „ucieczka od znanego”.

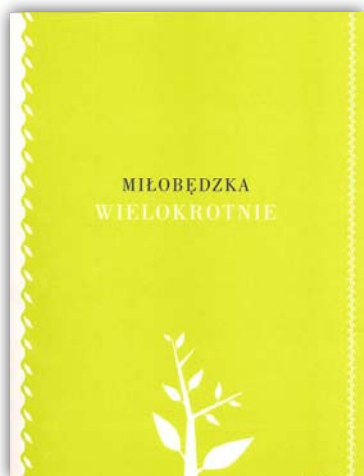
* * *

Na spotkaniu zorganizowanym w ramach festiwalu Pora Poezji w Poznaniu, zapytana o wrażenia związane z lekturą książki, Krystyna Miłobędzka określiła je jako odkrywcze – dla niej samej jako osoby piszącej. „Być opisaną tak Wielostronnie”. Duży komplement. Wielość, zróżnicowanie perspektyw przekłada się przecież na niepowtarzalność odczytań.

Być może więc nie „Wielokrotnie”, lecz „Wielostronnie”?

* * *

Co do poezji, pozostaje niczym innym. Tajemnicą. („Dzięki temu, wiedząc więcej, dowiadujemy się przede wszystkim, że o poezji prawdziwej wszystkiego wiedzieć się nie da”. Piotr Śliwiński).



Miłobędzka wielokrotnie,
red. Piotr Śliwiński,
seria: „Wielkopolska Biblioteka Poezji. Krytyka”,
tom 1,
Wyd. WBPiCAK,
Poznań 2008.

Mapa chińskiej kultury, czyli miejsca na krańcu cywilizacji

Miliardy oczu przez czternaście dni obserwowały Pekin. Miliardy par nóg odwiedzały bajeczne zakątki w Pekinie: Zakazane Miasto, Pałac Cesarski, Wielki Mur Chiński, Świątynia Śpiącego Buddy i wiele innych. Komunistyczne miasto zmieniło się w eklektyzm kultur i narodowości. Piękno efektownych pokazów sztucznych ogni ograniczało widoczność turystów. Otumaniał przepych i oślepiły fajerwerki. Zahipnotyzowało niewiarygodne show, które Pekin zaserwował światu. Komunistyczne miasto na kilkanaście dni zatuszowało brutalną historię Chin. Bajeczny Pekin zamroził przeszłość placu Tian'anmen, na którym w 1989 roku wojsko krwawo stłumiło demonstrantów, żądających demokracji. Władze przyciszyły swoje grzeszki, m.in. masowe egzekucje, prześladowania mniejszości, wysiedlenia, obozy reedukacyjne czy przymusowe aborcje. W blasku fleszy nie widać tego, co jest zakazane. Pekin przesunął na dalszy plan Suoyang, Xunhua, Hongyuan, Baotou, Zhangjiajie i wiele innych miast, o których przeciętny turysta nigdy nie słyszał. Na światło dzienne nie wyjdą takie fakty jak: podwiązywanie drutem jajowodów, robienie pierogów z łożyska czy aborcja metodą grawitacji. Cenzura w Chinach zakleja usta, ale nie zawiązuje dłoni emigracyjnym opozycjonistom, jakim jest Ma Jian. Podczas burzy olimpijskich zamieszek, wyłoniła się autobiograficzna książka „Czerwony pył”, niczym kij rzucony w mrowisko. Spisywany dziennik w czasie podróży po Chinach zostaje opublikowany w postaci powieści o pielgrzymie. W plątaninie słów ukrywa kulturę chińską, która jak sam powiedział, nacechowana jest agresją. „W tym społeczeństwie nastroje i obrazy mogą rodzić podejrzenia. Pisanie jest bezpieczniejsze”. Malarz, fotograf i pisarz, wciela się zatem w tę ostatnią postać, aby ukazać chińskie realia lat 80. Bezpiecznie, ale zarazem bez ogródek, nanosi czarne farby na płótno i poetycko maluje obraz ubóstwa komunistycznego społeczeństwa.

„W Chinach, gdzie jedyną Religią jest polityka, każdy musi wyznaczyć sobie drogę w życiu trzymając się wąskich, z góry nakreślonych ścieżek”. Zatwardziały konserwatysta, dekadentki młokos, cyniczny artysta, chuligan w długich włosach, zakazanych džinsach pachnących zachodnią rozpustą, grozi krajowi zepsuciem duchowym. Jednego dnia porzuca pracę i wyrusza w niezapomnianą podróż po Chinach, która jest jednocześnie wyprawą w głąb samego siebie. To, co jest w zasięgu ręki, najlepiej poznaje się na odległość. Z dystansu spojrzeć na własne życie, rodzinę, państwo, religię. Jak powiedział bohater: „Dotknąć mogę cię tylko w wierszu, na odległość”. Podróż po urwistych skałach, bestialskich pustyniach pozwala mu zderzyć z twarzy maskę, dotknąć siebie i zastanowić nad własnym istnieniem. Nie tak dawno o psychologii podróży pisała Olga Tokarczuk w „Biegunach”: „Psychologia topograficzna wbrew pozorom nie zadaje tego samego pytania, co urzędnicy imigracyjni: po co tu przyjechałeś? Nasze pytanie podnosi kwestię sensu i znaczenia. W myśl zasady – staję się tym, w czym uczestniczę. Jestem tym, na co patrzę”. Ma Jian patrzy na świat, od którego oddalony był niemal o kilka kilometrów, a od którego dzieli go cywilizacyjna przepaść. To podróż w głąb korzeni genealogicznych Chin, obficie nasiąkniętych komunistyczną ideą. W ciszy miast, które odwiedza usłyszeć można tylko szum wiatru, siejącego biedę. Ubóstwo cywilizacyjne dochodzi do granic niewyobrażalnych. „Na sali porodowej widzę cztery kobiety z szeroko rozrzuconymi nogami. Z pochwy jednej z nich zwisa linka, na końcu której dynda dzbanek z wodą. Do ustawionej na podłodze miski kroplami ścieka krew. Yan Hu wyjaśnia, że drugi koniec przytwierdzony jest do pięciomiesięcznego płodu. [...] Lekarze nie mieli czasu zrobić normalnej aborcji, więc zaczepiają linkę i czekają, aż resztę załatwi siła grawitacji”. Niewiarygodne opisy, emanujące brutalnością przywołują czasy średniowieczne, ale nie lata 80. XX wieku, w których zdawałoby się, że człowiek już wie, co to jest człowieczeństwo.

Wymarłe wioski, w których zdaje się jedynymi energicznymi istotami są pchły we włosach. Nie przestrasza to bohatera, który niczym niezwykle pielgrzym pokonuje bezlitosną naturę, aby dojść do kolejnego punktu na mapie. Podróż dla Ma Jiana jest rozrachunkiem z własnymi uczuciami i popędami seksualnymi, które są równie silne, jak miłość do kobiet swojego życia. Niczym prawdziwy, wyzwolony artysta nie potrafi uporządkować własnych problemów sercowych. Trapią go wspomnienia, które z dystansu nabierają intensywnych barw. Nie daje spokoju również kwestia religijności. Budda, któremu się powierzył, wraz z pokonywanymi kilometrami, staje się mu coraz bardziej odległy. Wędrownka pielgrzyma przeobraża się w duchową walkę z Buddą. Dylematy kończą się dla niego przełomowym wyznaniem: nie nazywa siebie już buddystą. Odejście od religii nie oznacza jednak samotności. Podróż po Chinach pozwala poznać ludzi ubogich materialnie, ale bogatych duchowo. Ubóstwo wypełnia wiara w duchy, magiczne przepowiednie i talizmany. Ma Jian na własnej skórze przekonuje

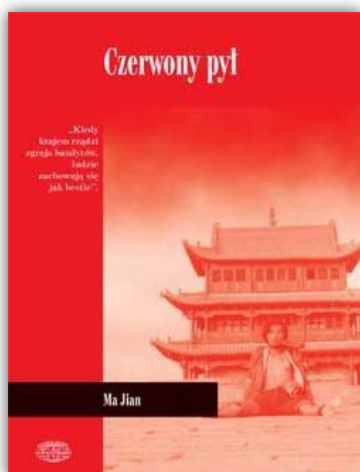
się o mocy zaczarowanych amuletów. Człowiek z Zachodu powiedziałby, że to siła sugestii, łup szczęścia lub zacofanie. Dla tych ludzi wiara jest istotą życia.

Tak jak mocno wierzą w duchy, tak równie silnie wierzą w Mao Zedonga. Bieda wiąże się z przyzwoleniem. Łatwiej manipulować umysłami statycznymi i uśpionymi, niż burzliwymi i rewolucyjnymi. „Kiwaj się, ruszaj się, ruszaj. Tylko tak mu umkniesz. Ten, kto rządzi światem, nie ma władzy nad ruchem i wie, że nasze ciało w ruchu jest święte, tylko wtedy mu uciekasz, kiedy się poruszasz. On zaś sprawuje rządy nad tym, co nieruchome i zmartwiałe, nad tym, co bezwolne i bezwładne. Więc ruszaj się, kiwaj, kołysz, idź, biegnij, uciekaj, gdy tylko się zapomnisz i staniesz, pochwycą cię jego wielkie ręce, zamienią cię w kukiełkę [...]. To dlatego tyrani wszelkiej maści, piekielni słudzy, mają we krwi nienawiść do nomadów”. Słowa Olgi Tokarczuk dokładnie oddają znaczenie podróży zbuntowanego „hippisa” o poglądach nie przystających do komunistycznych idei. Dla osadników, których napotyka, jego wędrówka jest wyrazem odwagi. Podróż jest formą buntu przeciwko chińskiej polityce. Wielu ludzi zazdrościło mu tego, że odważył się wyzwolić z rutyny, bowiem ich strach i zakorzenienie nie pozwalają wyrwać się z wiosek. Stagnacja pozbawia siły, siła chęci konfrontacji, a stąd już blisko do zmanipulowania i omamiania umysłu. Nomadyzm to życie, które wyznaczone jest odległościami. „Im dalej podróżujesz, tym dłużej żyjesz”. Egzystowanie to nic innego jak ciągle marsz przed siebie, walka z siłami natury, z własnym strachem i własnymi ułomnościami.

Pielgrzymem jednak nie każdy może zostać, bo nie każdy może przeżyć dzień bez wyszcotkowania zębów czy tyka wody. Nie wszyscy zastąpiliby kłęby miejskiego kurzu na tumany piasku na pustyni. Zaskakujące, ale do nich również zalicza się sam Ma Jian, który po latach wędrówki powraca do Pekinu, aby już osiąść na stałe. „Nie wytrwam już na pustkowiu i w głuszy: natura jest bezkresna, ale moje życie ma swoje granice. Chcę żyć w dużym mieście, w którym są szpitale, księgarnie i kobiety”. Puenta powieści odśladania przed nami zwyczajność bohatera. To nie żaden natchniony boską siłą pielgrzym (jak z wcześniejszych partii tekstu można by wywnioskować), lecz śmiertelnik, który po raz kolejny dowodzi, że w obliczu natury jesteśmy zaledwie pyłkiem. Podróż po Chinach to zamknięty okrąg, którego punktem scalającym jest Pekin. Jednak to nie w tym mieście autor osiedla się na stałe. „Chiny to czarna dziura, w której nie chcę umrzeć. [...] Wiem tylko tyle, że chcę wyjechać. Wszystko, czym byłem, mam ze sobą, wszystko, czym będę, czeka na drodze przede mną. Chcę myśleć w marszu, żyć w biegu. Już nigdy nie zniosę zamknięcia w czterech ścianach”. Ostatnią fazą podróży do wolności, wyzwolenia artystycznego umysłu okaże się Londyn.

Książka ma przedstawić podróż po krainach, w których natura tyrana obnaża swoją władzę. Niestety zamiast tego otrzymujemy opisy walki z przyrodą, która kończy się dla bohatera tylko lekkim zadrapaniem. Odtwarzane wędrówki przez strome góry czy niebezpieczne kamienie nie budzą strachu o życie bohatera. Podróż ta jest niczym legenda o człowieku, który pokonał bestialską naturę. Łagodne, statyczne opisy rozczarowują czytelnika, który oczekuje od pisarza-malarza ekspresjonistycznego dzieła. Do topograficznej podróży, która miała cechować się realnością, wkrada się nutka bajeczności. W heroizację pielgrzyma, Niestety, nie uwierzy racjonalny odbiorca. Zamiast języka żywego, trzymającego kurczowo w napięciu, otrzymujemy język spokojny, wręcz jednostajny. Zatem zamiast abstrakcyjnego obrazu obserwujemy statyczne dzieło przedstawiające epizody z codziennego życia mieszkańców chińskiego państwa.

„Czerwony pył” to natchniona życiem mapa Chin. To nie są narysowane na kartce grube linie oznaczające ulice i kwadraciki – miejsca, które trzeba zobaczyć. To mapa, która prowadzi po życiu ludzi, które dla nas, czytelników, jest niewyobrażalne. Wędrówka od wymarłej wioski, do zacofanego miasteczka. Spoglądamy obok siebie – talerz smacznych kanapek, czysta pościel, ciepła kurtka. Ciesz się z banalnych rzeczy, które dla innych są czystą abstrakcją. Jak zauważył Ma Jian – Polacy są zbyt poważni. To, co zbliża nas do Chińczyków, to brak uśmiechu – tylko to i aż to.



Ma Jian,
Czerwony pył,
przeł. Jerzy Łoziński,
Wyd. Zysk i S-ka,
Poznań 2008.

Ludzie, mam fobię!

Każdy z nas ma fobię. Ci, którzy zaprzeczają, po prostu jej nie odkryli – albo nawet jeśli odkryli, nie potrafili jej nazwać. Za to Tim Lihoreau wykonał solidną pracę naukową, nazwał liczne fobie cywilizacyjnego świata i zebrał je w tomie „Spokojnie, to tylko fobia!”. I nie pracował bynajmniej nad takimi oklepanymi kawałkami jak arachnofobia, czyli strach przed pająkami – lecz opracował spis obszerny, powszechny i na wskroś godny XXI wieku. Jest to dzieło poważne w formie (słownik) i w treści (gdyż niewątpliwie poważną sprawą jest odkrycie, że posiadamy większość fobii świata. No może poza „płciowymi”, czyli możliwymi jedynie u osobników poszczególnych płci, typu transpilofobia, czyli strach przed rodzeniem, a raczej bólem z nim związanym). Czytanie tej książki przypomina więc studiowanie „Encyklopedii chorób” – tak samo w końcu okazuje się, iż posiadamy cały zestaw objawów każdej z wymienionych tam dolegliwości – od chorób tropikalnych po gorączkę krwotoczną. Różni się z kolei tym, iż fakt zapośiadania trądu (pełen zestaw objawów) nie napełnia nas taką uciechą jak przynależność do grupy posiadaczy, przykładowo, congressiofobii, czyli lęku przed spotkaniami służbowymi. O wiele bardziej też uspokaja wiadomość, iż owa przypadłość może mieć formę pogłębioną a zarazem stanowić objaw sam w sobie (c. cerebratempa) – czyli chroniczną nieobecność na takowych zebraniach. (Moja koleżanka na to cierpi).

A teraz... poznajmy się lepiej. Mam:

- Perdetofobię – lęk przed niezapisaniem pliku. (Wszyscy to macie, wy, którzy piszecie w Wordzie i którym choć raz ta złośliwa cholera zeżarła 20 minut pracy umysłowej oraz najgenialniejszy akapit świata!).

- Abemorafobię – lęk przed ominięciem właściwego przystanku. Ale to nie moja wina! – nabawiłam się tego, gdy w Krynicy Morskiej, która, jak wiadomo ma kilka kilometrów długości, wysiadłam o przystanek za późno z naładowaną do za-pełna walizą wypoczynkową. I z tą walizą w białych rączkach przez ów elegancki kurorczik!

- Colligafobię – lęk przed pakowaniem się. Bo przecież na pewno czegoś zapomnę!

- Percibufobię – lęk przed zamawianiem potraw z obcojęzycznego menu. Kiedyś w Alzacji zamówiłam wielki placek z jabłkami... Był kosmaty.

- Viciquinfobię – lęk przed Świątami Bożego Narodzenia. Pomińmy to milczeniem.

To nie koniec moich fobii. Ale może teraz nie tylko o mnie. Lihoreau trafnie określił dotychczas niedookreślone lęki moich wszystkich przyjaciół i znajomych. Jakie to pouczające! (Na przykład świadomość faktu, że scallapellofobia odmiana *pons* – lęk przed chodzeniem po kratownicowych mostach – utrudnia zabawę w misie-patysie).

Moja sąsiadka cierpi na conspecunofobię, czyli lęk przed dawaniem pieniędzy na tacę. Nasz proboszcz już o tym wie i nie jest zadowolony. Potęga fobii jest straszna.

Na marginesie: nasz proboszcz ma malvacofobię – lęk przed użyciem niewłaściwych słów. Zresztą George Bush młodszy też na to cierpi.

Moja koleżanka ma ocuvianofobię – lęk przed kontaktem wzrokowym z przechodniem. Poza faktem, iż pracuje w usługach, nie miała na to żadnych zadatków.

A moja druga koleżanka ma officinofobię, czyli lęk przed pracą. Jej dyrektor nie nazywa tego fobią, ale... No, lecz mniejsza. I bez inwektyw. No, a ten dyrektor to ma deverserofobię – tak twierdzi ta moja koleżanka. Ale skąd ona wie, że on nie cierpi hoteli, to ja nie wiem.

Moja babcia ma na pewno vaporfobię, czyli lęk przed pozostawieniem włączonego sprzętu gospodarstwa domowego. Wiem też teraz, iż mój były narzeczony miał saltafobię, czyli lęk przed tańcem. Bardzo (dla mnie – jako narzeczonej) uciąż-

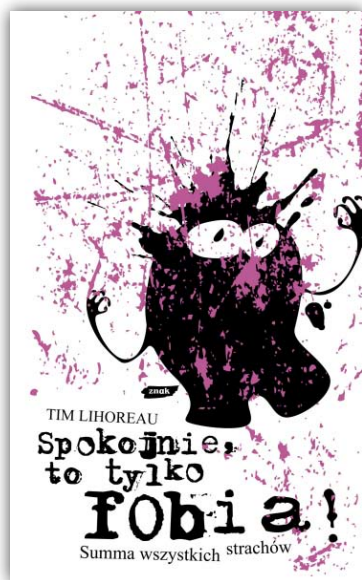
liwa fobia doprawdy. Eks-naręczony miał ów lęk co prawda bardzo słuszny – tańczył jak noga, ale przeszkadzał mu za to on wybitnie w nielicznych próbach przełamania go przez taniec ze mną. niesprawiedliwy los.

Najdziwniejszą z traum opisanych przez Lihoreau chyba jest picafobia, czyli lęk przed srokami. Ale czy ktokolwiek, kto obejrzał „Ptaki” Hitchcocka, nie ma zadatków na ten strach? Wielu moich znajomych za to jest hebdomofobami (lęk przed niedzielnymi wieczorami), a właściwie większość klasy pracującej przyznaje się do symptomu depresji niedzielnej, kiedy cały dzień, a zwłaszcza wieczór, psuje nam przecucie nieuchronnego poniedziałku.

Najwspanialsze w „Spokojnie, to tylko fobia!” jest to, iż żartobliwy z założenia materiał stanowi ciekawy trzon przemysłań socjologicznych, gdyż przedstawia w krzywym zwierciadle rzeczywisty nasz byt. Autentycznie przecież większość pracujących cierpi na wspomnianą wcześniej „depresję niedzielną” – i jaki z tego płynie wniosek? Ano że praca nas stresuje, czyli: albo jej nie lubimy, albo sobie z jakimś jej aspektem nie radzimy. I tak dalej. Jakże godna to książka i jakże zbawienna – nie tylko pozwala mi odkryć moje słabości, genezę mego dziwactwa, problemy z przystosowaniem do reszty świata, ale pokrzepia świadomością, iż, po pierwsze, nie posiadam WSZYSTKICH fobii, a po drugie, jestem w godnym towarzystwie, gdyż każdy z moich znajomych jakowś z owej litanii posiada.

Wymieńmy się fobiami! Ja mam fobię, ty masz fobię, on/ona/ono ma fobię. Ja fobię – ty fobisz – on fobi. Fobia ma fobię i ją fobi! Że ja niby teraz fobię? – spokojnie to tylko fobia!

P.S. A pewien mój znajomy to cierpi na graphicoitofobię! – lęk przed uprawianiem seksu ze względu na niewielkie rozmiary członka. Ten to dopiero ma problem.



Tim Lihoreau,
Spokojnie to tylko fobia! Summa wszystkich strachów,
tłum. Rafał Śmietana,
Wyd. Znak,
Kraków 2008.

Proces myślenia

„Masz małą głowę, nie masz uszu, jesteś oślizgła, długa. Nie masz jaj?! Chyba nie jesteś adwokatem?” – taki dowcip o lisie zgadującym kim jest żmija, pojawia się w „Świadku mimo woli” Gianrico Carofiglio. Ciekawe, czy taki dowcip w środowisku prawniczym naprawdę funkcjonuje, czy tylko stworzył go sobie na potrzeby swojej pierwszej powieści włoski prokurator debiutujący w roli pisarza. Ponieważ recenzja ma na celu zachęcenie lub zniechęcenie do sięgnięcia po książkę, to jestem zobligowana przyznać, że jest to debiut wielce udany, co można stwierdzić już chociażby po tym, że wręcz nie sposób się od niej oderwać. I to za sprawą czego? Wcale nie ma tu zaskakujących zwrotów akcji czy suspense, a mimo to z niechęcią przerywałam lekturę i odkładałam na bok, żeby móc do niej jak najszybciej i z ciekawością powrócić. Otóż zawładnął mną główny bohater, a może bardziej sam Gianrico Carofiglio. Biorąc do ręki tę książkę nie spodziewałam się tego, myśląc: ot, kolejny kryminał z „Mrocznej serii”. Jakże się myliłam!

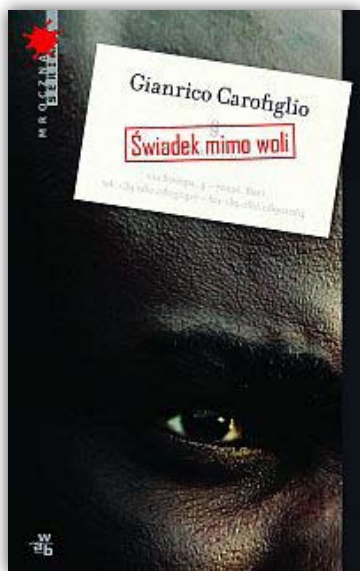
Główny bohater tego wcale nie kryminału, a dramatu sądowego, mecenas Guido Guerrieri jest siłą napędową tej opowieści. Wprowadza nas w meandry przebiegu procesu sądowego, przybliża nam osobliwości (i osobistości) prawniczego środowiska, a przede wszystkim zaprasza nas do swego wewnętrznego świata, w którym nieco się pogubił. Odnalezienie wyjścia z impasu zajmuje mu ponad 250 stron, czyli całą książkę. Pierwszych kilka rozdziałów każe nam się zastanowić, jakim cudem znalazła się ona w „Mrocznej serii”. Sfrustrowany mężczyzna w średnim wieku, którego właśnie zostawiła żona twierdząc, że znudziła ją jego przeciętność, opowiada o swojej depresji, kłopotach ze snem i strachu przed jazdą windą. Materiał w sam raz na powieść obyczajową. Jak sam mówi: „po odejściu Sary wszystkie rzeczy ukryte wyszły na wierzch”. Co ważne, jego opowieść nas nie zanudza, a to przede wszystkim za sprawą autoironii i krytycznego spojrzenia na świat. Ma dystans do siebie i do swoich „demonów”. Jak wspomniałam, bohater jest człowiekiem przeciętnym, co dla czytelnika ma akurat nieprzeciętne znaczenie, bowiem skraca dystans między bohaterem a czytelnikiem, czy może raczej między autorem a czytelnikiem. Poprzez uzewnętrznianie swoich emocji (jak choćby przyznawanie się do płaczu), szczere opowiadanie o swoich zmaganiach z codziennością, mecenas staje się nam bliski, wierzymy mu i trzymamy kciuki za jak najszybszą poprawę samopoczucia. Pomóc mu w tym może sprawa, którą przychodzi mu się zająć.

W nadmorskim miasteczku ginie 9-letni chłopiec. O popełnienie makabrycznej zbrodni zostaje oskarżony czarnoskóry obnośny handlarz, którego obrony podejmuje się nasz bohater. I tu należy pogratulować autorowi, gdyż zabiera głos w dyskusji o rasizmie. Przedstawia stereotyp: mężczyzna podejrzany jest o popełnienie zbrodni wyłącznie z powodu koloru skóry. Świadek zdarzenia nie pamięta twarzy prawdopodobnego mordercy, dla niego każdy Murzyn wygląda tak samo. Proces Thiama Abdou nie jest jednak w tej książce najważniejszy. Moim zdaniem jest tylko tłem, ale nie takim, które można lekceważyć (w końcu rasizm to poważna sprawa). Mam wrażenie, że tak naprawdę autor, jako zawodowy prokurator, chciał przelać na papier swoje przemyślenia i bolączki dotyczące pracy w sądzie. Dowiadujemy się, co prawnik czuje przed procesem, jakie targają nim wątpliwości i jak duże znaczenie w tym fachu mają pieniądze. Zdradza, jak nieprofesjonalnie prowadzone są przesłuchania, jak napięte panują stosunki w sądzie i jak niemal niemożliwa jest nić porozumienia między oskarżycielem a obrońcą. Niby nic nowego, ale nie ma tu owijania w bawełnę, ubierania w piękne słowa, jedyne, na co pozwala sobie Carofiglio, to subtelna ironia, drwina ze środowiska, w którym przez wiele lat się obracał i którego, prawdopodobnie, ma już dosyć. W finale jednak mamy happy end: dobro oczywiście zwycięża nad złem, a nasz bohater przechodzi duchową przemianę i odzyskuje chęci do życia.

„Kiedy przychodzi ci do głowy myśl, która wydaje się bardzo błyskotliwa, na ogół nic potem z tego nie wychodzi”. To

właśnie jedna z wielu takich sentencji, którymi Carofiglio wzbogaca swoją powieść. Fani cytatów i aforyzmów, do których sama się zaliczam, na pewno docenią ten zabieg. Gdyby to były tylko rozważania i refleksje bohatera, byłoby to naturalne. Ale pojawia się tu bardzo wiele cytatów, m.in. z „Małego Księcia”, z Dostojewskiego czy wielu filmów. Świadczy to tylko dobitnie o tym, że autor chciał nam przekazać coś więcej niż tylko kolejną relację z sali sądowej. Nasz bohater jest niezwykle erudytą, którego pochłaniają książki i filmy oraz dobra muzyka. Jest to jego odskocznia, w ten sposób odpoczywa po trudach zmagania w sądzie. W wolnych chwilach wpada w zadumę, filozofuje i rozmyśla nad tym, w jaki sposób przeszłość determinuje naszą teraźniejszość, jak człowiek się zmienia po popełnieniu pewnych błędów. Obdarzony jest też zdolnością do empatii i dzięki niej swój początkowy sceptycyzm zmienia w przekonanie o absolutnej niewinności swojego klienta. Kreacja głównego bohatera jest więc tu szczególna. Na sali sądowej to zdecydowany, zdeterminowany profesjonalista (choć przyznaje, że adwokatem został z przypadku), a poza nią – wrażliwy intelektualista, kontemplujący życie.

Twórczość włoskiego prokuratora trafnie podsumował „New Yorker”: „Carofiglio pisze ironiczne książki, które są zarówno thrillerami prawniczymi, jak i historiami o miłości oraz traktatami filozoficznymi”. Ale nie ma co się oszukiwać: miłośników wartkiej akcji, kryminałów i gwałtownej wymiany zdań na sali sądowej, „Świadek mimo woli” może rozczarować. Jest to bowiem książka ambitniejsza od niejednej z podobnego gatunku. Powiem banalnie, jest dobra sama w sobie, jest klasą sama dla siebie, tak po prostu.



Gianrico Carofiglio,
Świadek mimo woli,
przeł. Joanna Ugniewska,
Wyd. W.A.B,
Warszawa 2008.

Kamienie

Ona krzyknęła:

- Zastanów się czy ci na mnie zależy i wtedy zadzwoń! - Po tych słowach wyrzuciła mnie za drzwi, a ja, pijany, wróciłem do siebie, położyłem się spać.

Rano obudził mnie telefon. W słuchawce usłyszałem nieznamy głos, który proponował mi jednodniowy zarobek przy stawianiu grobów, nagrobków i ich czyszczeniu. Zapytałem tylko na ile pieniędzy mogę liczyć i gdzie się mam stawić, a kiedy usłyszałem sumę i miejsce, wyszedłem z łóżka. Ubrałem się, umyłem i wypłem kawę, którą zrobiłem dzień wcześniej. Gdy piłem przypomniałem sobie, że ona wyrzuciła mnie za drzwi. Chciałem do niej zadzwonić, ale pomyślałem, że o tej porze i tak śpi. Chciałem zadzwonić i powiedzieć, że nie tak miało być, że nie chciałem się upić, ale jakoś tak wyszło. Wypłem kawę i poczułem się lepiej. Wiedziałem, że jeszcze jestem trochę pijany po ostatniej nocy, a teraz była siódma rano. Dopiero po godzinie miał do mnie zacząć docierać kac, kiedy akurat zbliżałem się do siedziby firmy.

Przed budynkiem zobaczyłem kilka zadbanych i ładnych grobów, a kiedy wszedłem do środka poczułem smak betonu i kamienia. Przed sporym stołem stał młody facet, który mi powiedział, że szefa znajdę za domem, gdzie rozmawia z klientem. Poszedłem tam i przystanęłem kilka metrów od niego. Kiedy skończył gadać popatrzył na mnie jak na intruza, a wtedy ja powiedziałem:

- Przyszedłem zamiast Adama.
- Wolalbym żeby on przyszedł zamiast ciebie.
- Ja też bym wolał leżeć w łóżku i mieć dobrą kasę za to - odpowiedziałem.
- Dobra, dobra, wyglądasz w porządku, a każdy potrafi przenieść worek cementu.

Kiedy skończył mówić odesłał mnie do ekipy Adama, która właśnie podjechała kombiakiem przed dom. Byli to dwaj faceci około czterdziestki, wyglądali jakby wypili dużo więcej alkoholu poprzedniej nocy niż ja. Mieli twarze jak ochlaptusy, które zbierają kasę na wino pod dworcami. Rzadkie, kręcone włosy pasowały do obfitych wąsów i brudnych, niebieskich ogrodniczek. Przywitałem się, a wtedy jeden z nich, nie pamiętam już który, powiedział:

- To ze mną rano gadałeś. Adam wczoraj zapił z nami i nie mógł wstać, więc powiedział, że ty go zastąpisz.

Przytaknąłem, a on kontynuował:

- Nie przejmuj się, trafiła ci się okazja, dostaniesz całą dniówkę plus pewnie nadgodziny. Niewiele dzisiaj roboty, tylko dwa groby na jednym cmentarzu, ale przeciągniemy to, bo mam urodziny, więc napijemy się coś przy okazji i wrócimy tutaj tak za dwanaście godzin, czyli przynajmniej czterdzieści złotych za dodatkowy czas pracy dostaniesz plus normalnie osiem złotych za godzinę. Chyba, że chcesz wrócić o siedemnastej do domu i nie pić z nami?

- Napiję się z chęcią - powiedziałem.

Wrzuciliśmy do bagażnika trochę kostki brukowej, cement, a sprzęt miał na nas czekać już na cmentarzu, pojechaliśmy.

- Zatrzymajmy się tu pod sklepem, bo pali mnie w ryło - powiedział jeden.

Wysiedliśmy, ja poczekałem przy samochodzie, a oni, po chwili, wrócili z dwoma flaszkami wódki.

- Tak w ogóle mam na imię Edek - powiedział ten, co otwierał flaszkę.

- Ja Piotrek - przedstawił się drugi, który wszedł na chwilę do samochodu i po chwili pojawił się z literatkami.

Nalali zawartość butelki do szkła i wrzuciliśmy po jednym głębszym.

- Na drugą nogę, co?

Nawet nie zdążyłem powiedzieć, że coraz bardziej podoba mi się ta robota, a już literatki były do połowy pełne. Wypiliśmy je i zapaliliśmy po papierosie.

- Dobrze się trzymasz chłopak - wycharczał Piotrek.

- Staram się.

Jechaliśmy dalej już lekko i przyjemnie wstawieni, bo jeszcze wczorajszy alkohol krążył w nas. A te dwie spore porcje wody miło rozgrzewały ciało. Nawet papierosy zaczęły smakować lepiej. Po pół godzinie pojawiliśmy się przy cmentarzu, chociaż wolałbym podróżować tak cały dzień, aż do nocy. Edek poszedł po sprzęt, a po chwili wrócił z taczka, do której wrzuciłem kostkę brukową. W tym czasie oni rozmawiali, co wpierv zrobić? Później pokazali mi gdzie mam przewieźć materiał, aż w końcu stwierdzili, że dzisiaj mogą zrobić połowę roboty, bo zbliżają się chmury, więc powiedzą szefowi, że padało i nie było jak pracować.

- Słuchaj, położymy kostkę przed tym jednym grobem, a ten drugi tylko rozwalimy, rozkopiemy i przyłożymy plandekę. Jutro go dokończymy, a dziś napijemy się w spokoju.

Przez pierwsze dwie godziny na cmentarzu siedzieliśmy z Edkiem, a Piotrek układał kostkę brukową przy grobie. Szło mu to bardzo szybko, a czas zajmowaliśmy rozmową i piciem. Zaczynałem być mocno wstawiony. Wreszcie skończyliśmy obydwie flaszki. Oni trzymali się o wiele lepiej ode mnie, a Piotrek zaproponował, że podjedziemy samochodem po kolejną flaszkę. Zgodziłem się, wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy w kierunku najbliższego monopolowego.

- Nie myślałem, że tak się dzisiaj spijemy - powiedział.

- Życie jest krótkie, a pić się chce - odpowiedziałem.

Zaśmiał się, a ja mu rzuciłem kasę na flaszkę. Weszliśmy do sklepu, Piotr zawołał za sprzedawczynią:

- Królowo, dwa balsamy poprosimy.

- Chyba panowie nie będziecie pić tego na miejscu, pod sklepem? - Zapytała.

- Skąd taki pomysł? Mamy jeszcze kilka godzin pracy.

Kiedy wróciliśmy kostka już była ułożona, a Edek palił papierosa siedząc na grobie. Odkręciliśmy jeden balsam i wypiliśmy po połowie literatki, a później, jak to się mówi, na drugą i trzecią, a nawet czwartą nogę.

- Policji nie było? - Zapytał Edek.

- Jeszcze tylko ich brakuje - odpowiedział Piotrek - nie mam przy sobie dwu stów na łapówkę.

- Dobra, młody, bierzcie łopaty i pokopiecie sobie grób, a teraz ja odpocznę.

- Znów będzie miała do mnie pretensje, ta kurwa, że piję - powiedział Piotrek, kiedy rozwalał nagrobek na kawałki.

- Jaka kurwa? - zapytałem.

- Moja żona, od dwudziestu lat ma pretensje, że piję, a przecież widziała, co bierze. Nawet dwóch piw przy niej się napić nie można, bo już jęczy, a zawsze przecież przynosiłem do domu pieniądze, nigdy jej nie biłem - mówił i chwiał się przy rozbiórce - a ta ma pretensje, że życie sobie zmarnowała.

- Trzeba było od początku tresować - rzucił Edek.

Rozwaliliśmy stary i popękany grób. Dziś niby mieliśmy go postawić od podstaw, ale chłopaki stwierdzili, że tylko go rozkopiemy, a jutro zrobią resztę. Zacząłem więc kopać w ziemi, a alkohol coraz bardziej uderzał do głowy. Na szczęście gleba była miękka i szło mi to całkiem prędko. Po chwili zaczął mi pomagać Piotrek. W końcu doszliśmy do zniszczonej trumny, z której zostało kilka desek, a pod nimi zapewne było kilka kości.

- Widziałeś kiedyś trupa? - zapytał Piotrek i wbił łopatę w jedną deskę, pokopał jeszcze z pięć sekund i pokazał mi czaszkę, którą podrzucił w rękę.

- Napatrz się młody, tyle z nas zostanie - powiedział Edek.

- Dobra, skocz młody po plandekę do samochodu, bo to na dziś koniec.

Kiedy wracałem z powrotem lekko zataczając się, zobaczyłem podstarzałego przedwcześnie mężczyznę, który w swoim obdartym ubraniu wyglądał niczym bezdomny. Przykryliśmy nasz grób plandeką.

- Dobra, a teraz wyrzućmy z siebie demony przy pomocy alkoholu - powiedział Piotrek.

Na chwilę wstałem i wylałem się za jakimś grobem, kiedy znów zobaczyłem tego zaniedbanego faceta i zapytałem:

- Kim jest ten facet w łachmanach, co łązi po cmentarzu?

- Idź z nim pogadaj, to usłyszysz dobrą historię, ale wpierw się napij i to mocno.

Podszedłem do tego faceta, a kiedy byłem już blisko, zobaczyłem przy nim biegające dwa psy.

- Masz coś do picia? - zapytał.

Nie odpowiedziałem, tylko wyciągnąłem papierosa i zapaliłem.

- Ona gdzieś tu jest - mówił.

- Dawno odeszła?

- Piętnaście lat temu.

- Jak?

- Wzięli ją do szpitala raz i już nie wróciła.

- Jak to się stało?

- Na lewą rękę nawijałem jej włosy, a prawą biłem.

- Za co?

- Nie pamiętam.

Podszedłem do niego, dałem mu papierosa, którego paliłem i powiedziałem:

- Gdzieś tu ona musi być, ale jeżeli Bóg istnieje, nigdy nie pozwoli ci jej zobaczyć.

Wróciłem do chłopaków, którzy siedzieli pod jednym z grobów i wpatrywali się w pochmurne niebo i kościół przy cmentarzu.

- Domyśliłeś się?

- To nie było trudne - odpowiedziałem, a wtedy Edek zapytał:

- A ty chłopak, jak tam z kobietami?

- Pierwszą zawiodłem jako mężczyzna fizycznie i psychicznie, a później było już tylko gorzej.

- Spokojnie, jesteś jeszcze młody, kiedyś poznasz tę jedyną, z którą przez pierwszy rok będziesz czuł się jak w niebie, a później zrobisz wszystko żeby to popsuć.

Wtedy wyjąłem telefon ze spodni i wykręciłem numer do tej, co mnie wyrzuciła pijanego, aby powiedzieć, że nigdy jej nie kochałem i nigdy mi na niej nie zależało.



Dawid Szkoła – ma 23 lata, jest studentem IV roku dziennikarstwa na Uniwersytecie Wrocławskim. Pochodzi z małej miejscowości o nazwie Zgłobień leżącej na Podkarpaciu.